

Zofia Krysztopik (z d. Łapińska, zam. Płonka Strumianka, ur. 1932)

Przed ujawnieniem to u nas całe oddziały przez wioskę przechodziły: i konnica była nawet. Maszerowali czwórkami jak prawdziwe wojsko. To my, dzieci, biegłyśmy na drogę popatrzeć na nich. Potem było ujawnienie, no to wiadomo, kto się ujawnił, to się ujawnił, było mu lżej - jeżeli nie podpadł im jeszcze za coś. A kto się nie chciał ujawnić, to musiał się ukrywać.

Gdzieś od 48 czy 49 zaczęli do nas przychodzić. Mieli wybadane do kogo mogą dojść, do kogo nie mogą. Jeszcze jak pierwszy raz byli, to warte trzymali i nikomu nie wolno było wychodzić z domu. My oczywiście zadowolone byłyśmy z tego. No, ale nasza mama bała się. Nie to, że ich, ale sytuacji. Zaraz dostała bóli brzucha i biegała [do ustępu]. Wiadomo, każdy by się bał. U sąsiadów to ich dziewczyna towarzyszyła z milicjantem - przychodził do nich. Raz się u nich tylko partyzanci zatrzymali i już więcej nie - bo ludzie ich ostrzegli...

Jak w 1949 chyba, w żniwa, wzięli mego brata Franka po raz pierwszy aresztowali, to właśnie do tych sąsiadów go zaprowadzili i tam go stłukli. Jak przyprowadzili go do domu z powrotem i popchnęli do mieszkania, to cały był zlany krwią, jakby kto na niego wiadro tej krwi wylał. Obmył się i zabrali go na UB do (Wysokiego-J.K.) Mazowiecka. Tam dalej go bili i wyzywali od najgorszych. W kilka dni potem przyjechali i aresztowali mamusię i siostrę Krystynę. Na szczęście do niczego się nie przyznały i za parę dni wypuścili je. Do domu wróciły z Mazowiecka pieszo i bosy, to nogi poobcierały do krwi. Po kilku dniach i Franka wypuścili. Jak miał te 20 lat, to

przyszedł do domu o kiju, bo na UB zabrali mu wszystkie pieniądze i nie zwrócili. Nie miał więc na bilet. Mimo to wsiadł do pociągu. No to zatrzymała go Ochrona Kolejowa (SOK) za jazdę bez biletu. W końcu puścili go. Jak zobaczyliśmy go, to szedł kulejąc, podpierał się kijem, nie ogolony. Wyglądał jak stary dziad.

Trzymali go gdzieś w piwnicy i miał strasznie dużo wszów. Był tak skatowany, że nawet pokruszonego chleba nie mógł przełknąć. Zaraz dostał malarii. My nie myśleli, że on wyżyje. Na szczęście ojciec był kolejarze, więc mogliśmy korzystać z opieki lekarskiej PKP. Mamusia załatwiała lekarzy - dobrzy ludzie byli. Pomagali i jakoś Franek wydobrzył.

Od czasu jego aresztowania przez jakiś czas partyzanci nie przychodzili. Franek ożenił się. Jego żona była z Roszkowskich - też mieszkali w Płonce. No, ale po jakimś czasie partyzanci zaczęli przychodzić do Roszkowskich, do Płońskich i zaraz znowu i do nas. Chyba z rok nie przychodzili.

Wiadomo, u nas warunki byli ciężkie, bo mieszkaliśmy w chlewku, gdyż dom spłonął w 1944. No, ale jednak przychodzili, chociaż luksusów u nas nie było. Pamiętam ich: Zbyszek "Rokita", Lutek "Krakus", Stasiak "Rekin", Wacek pseudo "Zbyszek", Tymiański Giemek "Ryś".

Dlaczego przychodzili do nas: może dlatego, że u nas ojciec był kolejarzem, więc my, chociaż małe, ale trochę świata zobaczyli. Trochę rodzice wozili nas po świecie. Byliśmy i w Warszawie, i w Częstochowie, czy w Zakopanem albo w Krakowie, no to już nie taka zupełna ciemnota byliśmy, jak to przedtem była na wsi. Może i ludzie coś takiego powiedzieli im, że u nas dziewczyny są, jeździły dużo, to takim łatwiej gdzieś pojechać i coś załatwić. Takiego człowieka, co to nigdzie nie

jeździł, nigdzie nie był, to trudno gdzieś posłać. A "Huzar" wyciągał wojskową mapę, rozkładał na stole i tłumaczył mi gdzie, jaka droga i do kogo mam dotrzeć. No, nie każdy przecież po tej mapie by zajechał. A ja nie mogłam się pytać w terenie. Jak domek był gdzieś na kolonii, to tylko z mapy mogłam znać drogę - żadnego pytania się ludzi. Całą drogę musiałam znać na pamięć.

Dlaczego ja: bo Krystyna uczyła się w Łapach, a potem w Białymstoku i tylko od czasu do czasu była w domu, druga siostra Ania była na Śląsku, a najmłodszy brat nie miał nawet 10 lat. Potem Ania zachorowała i wróciła do domu, to potem też jeździła do Łysowa, w siedleckie, do Komarowskich (tam był punkt łączności do "Lamparta"-J.K.).

"Huzar" wysyłał mnie w różne miejsca - woziłam meldunki ustne i pisemne. Najczęściej podawał, gdzie mają się spotkać, u kogo i kiedy albo coś takiego. No i z powrotem dla "Huzara" przekazywaliśmy odpowiedź. Jeździłam m.in. do Łysowa, do Komarowskiej. To właśnie ona nas potem wydała. Tam pojechałam z Krystyną. Przez Bug trzeba było się przeprawiać.

A któregoś wieczora przyszedł "Huzar", napisał list - ja tam nie patrzyłam co on pisał - zaadresował go do UB w Białymstoku i powiedział, żebym pojechała do Gdańska. Miałam wrzucić go w Gdańsku do skrzynki pocztowej - dla zmylenia UB, bo u nas za często już były obławy i nie można tu było usiedzieć. Część oddziału była za Bugiem (w siedleckim - patrol "Lamparta" - J.K.), to byli od nich całkiem odcięci, nie mieli łączności, bo Bug był szczelnie obstawiony. Do Gdańska zajechałam nad ranem. Nad morzem była mgła. Całą drogę byłam podenerwowana, bo myślałam, że każdy wie, co ja wiozę i po co. Jak to mówią: Na złodzieju czapka gore. Potem, na spr-

wie, dowiedziałam się, że ja straszną rzecz zrobiłam - bo oni całą masę wojska władowali na Gdańsk. Nic tam nie znaleźli i musieli z powrotem wracać.

Nieraz z tych wypraw wracałam o 12, albo i o 1-ej w nocy, z Łap, od pociągu. Nie szłam szosą, dookoła, tylko od Łap na skróty, przez krzaki, pola. Na wiosnę to woda była po kolana - takie były tam grzęzawiska. No to nieraz ich spotkałam wracając do domu w nocy. Zatrzymali, poświecili latarką, zobaczyli, że to ja, pożartowali, porozmawiali i poszli.

Jak trzeba było, to i koszule się im przeparało - wiadomo. Sami się umyją. "Wuj" to miał taki łupież. Przyszedł i prosił, żeby coś pomóc. To ja z siostrą wyczesywałyśmy ten łupież grzebieniami z wata.

Jak ja "Huzara" pamiętam, to dla mnie on był jak jaki święty. Ludzie mówią różnie. Jednym się podobał, innym nie, ale dla mnie - chociaż ja była tylko dziewczynka - to.... . Jak stali we wsi i na przykład u nas kilku nocowało, a on gdzieś indziej, to zawsze witał ich - niemal jak dziewczyna:

- No jak chłopaki, wypaliście się? A co wam się śniło? - mówił takim strasznie łagodnym, spokojnym głosem: A co słychać? - strasznie miłe to było.

27 maja 1952, wieczorem, przyszli do nas chłopcy i w stodole - niedaleko nas (spaliśmy w stodole - bo to było lato) położyli się spać. Następnego dnia, jeszcze ciemno było jak wstali i poszli. A my spaliśmy dalej. Raniutko jeszcze było, gdy obudził nas szum silników. Rozszczękały się psy. Po chwili usłyszeliśmy tupot wielu nóg dookoła budynków. Nie wiemy co się dzieje. Zrywamy się a tu wojsko wpada do stodoły:

- Wstawać! - krzyczą i nastawiają te karabiny z takimi długimi szpicami (z bagnetami-J.K.). Wypędzili nas na podwórko. Zaraz powskakiwali na dachy, na stodołę, wszędzie i kłują te dachy (słomiana strzecha) tymi szpicami. Kazali wejść do domu i ubrać się, bo nas aresztują. Nie dali się nigdzie ruszyć i wyzywają od różnych, od bandytów.

Potem zobaczyłyśmy, że obtoczyli całą wieś. Tyle ich było, że żołnierz przy żołnierzu stał. Jak my na końcu wsi mieszkaliśmy, to widać było tę linię obławy. To było wojsko, ale takie co w UB pracowało.

Tego dnia aresztowali tylko nas dwie: mnie i siostrę Anię. Prowadzili nas przez całą wieś, bo pod wsia stały samochody. Po obu stronach drogi stały kolumny wojska. Jakby nie wiem jak ważnymi zbrodniarkami byłyśmy. Chyba z pięć samochodów przyjechało, tylko po to, żeby nas aresztować (Na samochód wchodził pluton - 30-35 ludzi, czyli łącznie we wsi było ponad 150 żołnierzy. Być może za wsią były jeszcze inne pododdziały - J.K.).

Krystynę wzięli chyba następnego dnia, czy po dwóch, a mamę i Franka dzień później. Mamę wystraszyli, dostała rozstroju nerwowego. Strasznie to przeżywała. Zawieźli do Choroszczy (szpital psychiatryczny pod Białymstokiem-J.K.), potem puścili ją stamtąd, bo uznali, że udaje i dostała na sprawie wyrok 8 lat. Wyszła z więzienia w 1954 chyba, na przerwe kary. Była całkiem schorowana.

Zawieźli nas (mnie i Anię) do Mazowiecka, na UB. Zaprowadzili do pokoju śledczego i od razu przesłuchanie. Nie chciałam do niczego przyznawać się więc stójka. Stałam na środku pokoju i

nie miałam prawa o nic się oprzeć. Stałam tak chyba z więcej jak tydzień. Zasypiałam na stojąco a oni cały czas się zmieniali. Oczy same się zamykały, ale już po chwili, broniąc się przed upadkiem, przytomniałam. I wciąż te śledztwo, wciąż te śledztwo. Straszne. Nogi mi popuchły tak, że moje letnie buciki na paseczki rozpadły się i bosa zostałam. No i oczywiście te ich chamskie słownictwo i zachowanie. Straszyl:

- Sprawdzimy, czy cnotliwa - i wyzywali od ostatnich. Kurwa, bladź - tylko tak się zwracali. Innych słów nie znali.

Jeden ubowiec, taki czarny, do zwierza był podobny, okropny, brzydki. Jak uderzył mnie w ucho, to tylko gwiazdy zobaczyłam i do dziś na te ucho gorzej słyszę.

Chyba zaraz na drugi dzień przyprowadzili do mnie na konfrontacje dwóch takich z oddziału "Huzara" (aresztowanych w czasie obławy), co sypali mnie. Mówili, że kwaterowali u nas, o czym rozmawialiśmy.

Czasami zdarzało się, że śledczy musiał wyjść z pokoju (czasami wręcz wybiegał, jak przywieźli jakiegoś aresztowanego) i wtedy pilnował mnie tylko żołnierz. Kazali im pilnować, żebym nie usiadła, bo w kącie stało krzesło. Ale żołnierze czasami pozwalali usiąść. Czasami tylko na chwilę, jak się bali. Jeden taki to powiedział:

- Pani, jak ja pana zobaczyłem, to mnie jakby kto nóż w pierś wsadził. Jak szedłem do wojska, to marzyłem, że zostanę tutaj na zawodowego. Ale teraz, jak to wszystko zobaczyłem...

. Za parę miesięcy kończy się moja służba i nie mam zamiaru tu zostawać. Słucha pani - jak ja podniosę palce do góry - tu pokazał jak się saltuje - to pani niech szybko wstaje, a jak będę trzymał rękę w dole, to pani niech siedzi. No, ale na

korytarzu niemal stale było słychać tupot wielu nóg. Ciagle ktoś biegł, tak że to była nerwówka.

W nocy, gdy uda mi się na chwilę zasnąć na stojąco, budzą i znowu pytają się, czy przyznaję się, bo jak nie to wywiozą do lasu na rozstrzał. Po chwili słyszę warkot zapalanych silników. Zabierają mnie z celi i wyprowadzają na dziedziniec. Tam stała już ciężarówka z wojskiem. No i jedziemy do lasu. Zatrzymaliśmy się pod lasem. Żołnierze broń porozstawiali, mnie wyprowadzili i będą strzelać. No i przyznawaj się - tylko tego chcieli. A ja dalej nic, więc z powrotem do Mazowiecka i dalej stójka.

Innym razem wszedł do pokoju taki gruby pułkownik. Od razu powiedział:

- Uch, ja by ci dał dopiero, tylko mnie ciebie żal. Znów się wystraszyłam. Znowu będą bić? - Rozsiadł się na krześle, przyciągnął mnie do swego brzucha, że to ja niby taka szczupła byłam dziewczynka, i pyta się:

- Powiedz kto ciebie bił?

- Jak powiem, to jeszcze gorzej mnie będą bili.

- Powiedz, to więcej nikt cię nie uderzy. - Już nie pamiętam, czy powiedziałam mu o tym czarnym. Faktem jest, że potem już nie bili mnie. Owszem, wyzywali, ale nie bili.

I wtenczas tego "Wuja" zabili. Zdjęcia mu porobili (zabitemu), to na UB nam pokazywali. Siedział na ziemi oparty o płot. Jak żywy. A się dziwili, że miał taki czysty mundur, że zadbany. Ach jak się dziwili, że on taki czysty, taki wyszykowany. Nie mogli tego przeżyć. Dopadli go już chyba za wsią. Mnie się wydaje, że on sam się zabił, bo dziurę to miał po środku czoła. Chociaż oni gadali, że to oni go zabili.

Potem na śledztwie, to kilka razy miałam konfrontację z Komarowską i takim Pankiem (to chyba przywisko wioskowe-J.K.) z siedleckiego. To oni nas wydali. Kolejny błąd to był ten, że "Lampart", jak go zabili, miał przy sobie listy do Krystyny - nie powinien był tego robić. Szczególnie mnie te listy zgubiły, bo tam było napisane, że jeździłam do Gdańska w sprawie "Huzara". No to już nie mogłam powiedzieć, że nie jeździłam. A tak do tej pory (do czasu zabicia "Lamparta" i znalezienia u niego listów-J.K.) nic się nie przyznawałam. W czasie rewizji znaleźli u nas zeszyt z pieśniami partyzanckimi:

Nad Sielcami zmrok zapada
Na niebie gwiazd miliony lśnią
W celi więziennej śpi gromada
I o wolności ciągle śnia.

Wspomnij ten domek siedlecki
Skryty w kratkach, automatach
Rzędem stoja wartownicy
Naczelnika wierne psy

W nocy późno, późno w nocy,
polskie gestapo zjawia się
na piersiach maja automaty
na czapkach maja: UBe, UBePe.

Wspomnij ten domek siedlecki
Skryty w kratkach, automatach
Rzędem stoja wartownicy

Naczelnika wierne psy.

Na spacer gonią gdzieś w ciemności
Ręce do tyłu każą trzymać nam
I stoją sobie wartownicy
Ty będziesz tutaj całe życie gnął

Wspomnij ten domek siedlecki
Skryty w kratkach, automatach
Rzędem stoją wartownicy
Naczelnika wierne psy.

To chyba z dziesięć razy kazali mi przepisywać ten wierszyk - chcieli mieć moje pismo dla porównania, czy to ja pisałam w tym zeszycie i może jeszcze z czym innym porównywali.

Przez cały czas pobytu na UB w Mazowiecku ani razu nie byłam w celi. Tylko stójka w pokoju śledczego. Jedzenie przynosili, ale nie chciałam jeść. Czasami tylko coś tam trochę łyknełam. Na rękę nałożą jedzenie i tak mam jeść. Wreszcie, po jakichś dziesięciu dniach wywieźli do Białegostoku.

Tu z kolei grozili, że dostanę karę śmierci. Po śledztwie, to było mi już wszystko jedno. Byłam zrezygnowana. Tyle przeżyłam, to i niech zabijają, mnie wszystko jedno - myślałam sobie. Na sprawie dostałam 9 lat. Początkowo chyba nie zdawałam sobie sprawy. Gdy dotarło wreszcie do mnie - rozchorowałam się. Dostałam wysokiej gorączki.

Relacja spisana w 1996 r. przez Jerzego Kułaka.